Nr 13. **Kraków 30 marca 1867.** **Rok II.**

Prenumerata miejscowa: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., — *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: *rocz.* 7 złr. 20 c. *półrocz.* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocz.* 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocz.* 90 c. w. a.
Nuty *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocz.* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

KALINA

Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. *Mikołajska* 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni *J. Czecha*
We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi *T. Kochańskiego.*
W Poznaniu w księgarni Mieczysława *Leitgebera* Hotel du Nord.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

BIBLIOTEKA dla kobiet jako DODATEK do „Kaliny“, albo *osobno* kosztuje rocznie 6 złr. w. a. — półrocznie 3 złr, — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. — miesięcznie 50 c. — Osobno prenumerować można za pośrednictwem wszystkich księgarni.

Druk BIBLIOTEKI dla Kobiet już się rozpoczął.

atoli kwartał liczyć się będzie dopiero od 1go kwietnia. Kto nadesłał półroczną prenumeratę, ma zatém zapłaconą Bibliotekę, aż do końca września, czyli 25 arkuszy. *Od kwietnia rozpocznie się rozsełka* pierwszych zeszytów, a mianowicie: *„Wybór pism pani Sevigne“*.

Sądzimy, że rozpoczynając „Bibliotekę“ od p. Sévigné, uczynimy prawdziwą przyjemność Szan. Czytelniczkom. Pisma jéj należą bowiem do najcelniejszych wzorów prozy w literaturze francuskiéj, odznaczają się zarówno wdziękiem treści jak i powabami stylu; corocznie pojawiają się nowe ich wydania, zkąd można wnioskować, jak upowszechnioną są lekturą. My jednak nie posiadaliśmy dotąd żadnego ich przekładu.

Należy się spodziewać, że po ustaniu karnawałowych godów, umysły poważniéj usposobione, zechcą się téż więcéj zająć poważniejszą lekturą, że więc *z odnowieniem prenumeraty na „Kalinę“* przybędzie i na

„Bibliotekę dla kobiet“

ilość prenumeraty dostateczna do ustalenia tak pożytecznego wydawnictwa.

Sz. Prenumeratorów z **Poznańskiego**, którym się prenumerata kończy, upraszamy o odnowienie takowéj **w ajencyi naszéj w Poznaniu.**

Ajencja lwowska służy tylko dla Prenumeratorów zamieszkałych **w mieście Lwowie, wszelką inną zamiejscową prenumeratę z Galicyi, należy przesyłać do Krakowa.**

Komplety „Kaliny“ i **nut** z dwóch ubiegłych kwartałów są do nabycia w administracyi **po zwykłych cenach.**

Dokładamy wszelkich usilności, aby wartość pisma naszego podnosić i zadosyć czynić życzeniom jakie nas dochodzą. Nie przestaniemy starać się o to, żeby i nadal zasługiwać na tak przychylne wyrazy uznania, jakiegośmy dotąd od Sz. Pren. doznawali.

RYWALE.

(Szkic z ostatniego karnawału.)

U państwa X. miał być bal. Postanowienie to zapadło na radzie familijnéj, dnia 27. stycznia większością głosu, jaki miała nad małżonkiem swoim, byłym radcą, pani X. była piękność krakowska, która wniosek swój motywowała w ten sposób: że ponieważ wszyscy i wszędzie się bawią, więc wypada, aby i u nich był bal; że ponieważ o tyle są szczęśliwi, iż w opinii publicznéj uchodzą za dość majętnych ludzi, więc trzeba opiniją tę utrzymać koniecznie, przez świetne wystąpienie; że ponieważ Róża skończyła już dziewiętnaście lat (przed sześcioma latami), więc potrzeba ją koniecznie wydać za mąż, aby młodsza jéj siostra Wicunia, mogła zacząć już dziewiętnastą wiosnę. Po długich sporach między małżonkami, stanęło wreszcie nie odwołalnie, że bal być musi za kilka dni. Jeszcze tylko mała drobnostka stała na zawadzie tj., że emerytalna pensyja pana radcy nie chciała być na balu i przed czasem wyniosła się z domu; ale mama złożyła precyjoza swoje na ołtarz dobra rodzinnego, (krócéj mówiąc: w filii banku zastawniczego), byle tylko był bal. Tatko miał wynaleść tanich muzykantów i zaopatrzyć piwnicę w kilka butelek nieszkodliwego wina, córki zajęły się przystrojeniem salonu i swoich wdzięków, a pan Z. ostatni wielbiciel niknących wdzięków pani radczyni, odebrał polecenie dostawienia na dzień balu choć z ośm par zdrowych nóg do tańca z tym warunkiem, aby nogi te miały już w świecie pewne stanowiska. Panny tymczasem z mamą zrobiły ścisły przegląd pań mających być zaproszonemi; powykreślano te wszystkie, które grzeszyły w ich oczach majątkiem, urodą, lub zbytnią młodością; jedném słowem zrobiono wszystko dla zapewnienia córkom gospodarstwa pierwszorzędnéj roli. Pan radca nie przestając na odebranym rozkazie, chcąc choć za domem uchodzić za głowę familii, (gdyż w domu na rzecz swéj połowicy mniéj szlachetną część reprezentował). zapraszał kogo spotkał na bal do siebie.

Jakież było zdumienie pani domu, kiedy w dzień balu salon jéj począł się napełniać tłumem ludzi, których nigdy przedtem nie znała i nie widziała. Witając każdego z przedstawianych jéj miłym uśmiechem, w myśli porównywała z trwogą liczbę gości z liczbą kotletów, smażących się w kuchni.

— Żono, pozwól sobie przedstawić p. Badylego.

— Bardzo się cieszę — rzekła głośno, a w myśli dodała: to ostatni kotlet.

Niebawem przybyło znowu kilku ludzi. Radzca rozpromieniony, uszczęśliwiony takiém liczném zebraniem— prowadził ich znowu do żony.

— Panowie R. C. D.

— Chryste Jezu — dla tych już nie ma kotletów — pomyślała sobie z rozpaczą radczyni.

I kiedy radca chciał znów iść grać rolę pana u drzwi, połowica wziąwszy go energicznie pod rękę, wciągnęła do drugiego pokoju. Po sile z jaką ten manerw wykonała, domyślił się nieszczęśliwy małżonek czegoś złego.

— Słuchajno — rzekła radczyni cała w ogniu, zamykając drzwi — coś ty zrobił?

— Jakto, ty już wiesz o niéj?

— Co o niéj — o jakiéj onéj ty mówisz? Ja się pytam, zkąd tyle gości? — Radca odetchnął. Trzeba nam bowiem wiedzieć, że przezorny radca z butelek powierzonych jego pieczy uratował jednę dla siebie, na czasy późniejsze pewny, że buteleczka mniéj, buteleczka więcéj nie zrobi różnicy żonie i towarzystwu. Jednak zawsze niepokoiło go to przeniewierstwo, zdawało mu się przy pierwszém zapytaniu żony, że go już odkryto. Odetchnął usłyszawszy, że się pytanie tyczy gości.

— Słyszysz, zkąd tyle gości? powtórzyła zirytowana radczyni.

— Tutejsi wszyscy, moja duszko — uspakajał ją mąż.

— Ale kto ich zaprosił? —

— Ja! pochwalił się radca z pewną dumą i zadowolnieniem.

— Kto ci kazał? Dla czegoś to zrobił? —

— No, mówiłaś duszko, że dla szczęścia naszego dziecka potrzeba....

— Ja już wiem dobrze czego Róży potrzeba, ty się do tego nie wtrącaj!

— Ależ ja chciałem świetnie wystąpić....

— To wystąp teraz i nakarm ich, bo ja na tyle osób nie mam kolacyi.

— I czy to koniecznie mają wszyscy jeść? Jedni sobie pojedzą, drudzy potańczą, inni w karty, inni wino — ot, żeby rozmaitość była.

Drzwi się otwarły — wpadła szybko Róża z gniewnie zmarszczoném czołem, i przygryzionemi wargami.

— Co ci Róziu?

— Proszę mamy, jeżeli Wicunia zostanie w salonie, to ja się nie pokażę. Wszyscy koło niéj, wszyscy jéj nadskakują, ją proszą do tańca — a mnie nikt!... skarżyła się Róża smutna, jak przekwitająca róża.

— Jakto nikt?

— Nikt, jakiś młody studencik prosił mnie do kadrylla.

— A to niegodziwcy! rzekł oburzony ojciec — ja pójdę, ja im powiem, że to jest....

— Nie mięszaj się w nieswoje rzeczy. Idź, rzekła do córki — zawołaj Wicuni, będzie mi pomagała. A ty (to znowu było do męża) każ obnosić wino i ciasta.— Po odejściu pań papa niebawem wziął się do wykonania rozkazu — sam własnoręcznie nalał, spróbował i niezadługo w sali pojawiły się dwie tace z winem i ciastami; służący według przykazu nie zatrzymując się nigdzie, obnosili je między widzami na pokaz niby monstrancyją i po krótkiéj procesyi znikli znowu.

— A cóż, pili? dużo pili? pytał radca.

Spojrzenie na tacę stanęło mu za odpowiedź.

— Nie pili? proszę — czyby nie dobre było?

I spróbował jeden z dwunastu kieliszków —

— Doskonałe, wytrawne — i spróbował drugi.

— Idź postaw w sali, rzekł do służącego — może później się napiją.

Służący wszedł — radca za nim, niby eskorta. Przechodząc koło młodzieży spytał:

— A cóż panowie nie piją?

Młodzi obejrzeli się, szukając wina; taca z winem już była daleko od nich.

— Oj młodzież teraz, młodzież — ciągnął radca — jak panienki, od wina się krztusi. Dawniéj to panie była młodzież.

— Gdyby na to przyszło — odezwał się jeden śmielszych — tobyśmy się nie dali zawstydzić, ja sam....

Radca się zląkł o swoje wino i zagadał w téj chwili.

— O ja chwalę panów wstrzemięźliwość, bardzo chwalę — to postęp. My starzy nie tacy, prawda panie sekretarzu? rzekł, zwracając się do wykrochmalonego sztywnego jegomości i poprowadził go do kieliszków.

— No, kieliszeczek —

— Ja wina nie piję, wycedził grzecznie patyczek.

— Ależ doskonałe, o! — i wychylił radca trzeci już z rzędu kieliszek.

— No. —

— Nie, dziękuję prześlicznie.

— To pan, panie profesorze — do pana i wypił czwarty.

— Uważa pani, jak radca stał się nałogowym — zrobiła uwagę jedna dama siedząca na kanapie swéj sąsiadce.

— Nie podobna — i zkądże mu to przyszło?

— Zkąd? Z rozpaczy — biedak widzi, co się dzieje w domu.

— Jakto? —

— Bo też trudno nie zobaczyć. Radczyni wcale się nie kryje, ani ze swemi wdziękami, ani miłostkami — patrz pani, jak wygorsowana.

— Mówi, że przy swojéj tuszy nie może znieść gorąca.

— Pan Z. musi być bardzo zimny, kiedy go tak znosi.

— Któż to jest ten pan Z.

— Ów młody człowiek, który właśnie teraz za nią

wychodzi do drugiego pokoju. Biedny radca. O! patrz pani, idzie za niemi — jaki rozgorączkowany, oczy ma takie błędne — to Otello; będzie awantura.

Rzeczywiście radcy oczy błyszczały i pargaminowa twarz się rozpaliła, tylko nie dla tych powodów, których się domyślała pani z kanapy. Biedak animując do picia, wypił sam prawie wszystkie kieliszki.

Po spełnieniu tego obowiązku gościnności, głowa pana radcy poczęła tracić równowagę; stoliki, goście, lustra, kanapy zaczęły mu tańcować w oczach.

— A to się rozbawili mosterdzieju — mruczał do siebie — rozochociłem ich, teraz sobie odpocznę trochę — nie będę im przeszkadzał.

To powiedziawszy, szedł po sali jak po kołyszącym się pokładzie okrętu na odpoczynek do drugiego pokoju — otworzył drzwi i —

— Brawo! brawo! — zawołał — a to doskonały pomysł. Ta to moja żona z panem Z. jak widzę do polki stanęła tutaj. A wiecie państwo, że to kapitalny pomysł tańczyć i tutaj, kiedy w salonie za ciasno.

Panie na kanapie niezadowolnione, że nie przyszło do katastrofy, poczęły sobie złośliwe robić uwagi nad tym pomysłem pani radczyni — a tymczasem radca mrucząc: nie przeszkadzam, nie przeszkadzam — pociągnął na drzémkę do swego pokoju. — Pan Z. wrócił do salonu, nie kończąc już owéj polki pochwalonéj przez męża.

Tymczasem Róża oswobodzona od współzawodniczki, spojrzeniami i słowkami rzucała jak siecią na serca ludzi ze stanowiskiem, szczególniéj na doktorów, do których miała predylekcyją; ale niestety, tylko drobne studenckie płotki łapały się na te sieci, z których dorosłéj pannie nic. Pare razy tylko miała chwilę pięknéj złudy. Raz w mazurze wypadł jéj bukiet, który miała przypięty do boku. Uważała, że jedno sześćset reńskich (czyli aktuaryjusz) podniosło je skwapliwie z ziemi — serce jéj zabiło radością — pogoniła oczami za bukietem i za aktuaryjuszem, i zobaczyła, jak ten przycisnął bukiet do ust. — Róży słabo się zrobiło z czułości. Ale gdy spojrzała potém raz drugi — zobaczyła bukiet na ziemi, a okrutny aktuaryjusz szpilką, którą wyciągnął zębami z bukietu, przypinał sobie krawatkę. A ona wierzyła, że on bukiet całuje.

Po mazurze usiadł przy niéj jeden młody człowiek, którego jéj przedstawiono jako doktora S. Doktor jak powiedzieliśmy, był marzeniem Róży — serce jéj było w tym względzie podobne do szpitala, bo ciągle potrzebowało doktora. To téż nie posiadała się z radości, widząc ideał swój tak blisko siebie, słysząc go mówiącego jéj grzeczności. Rozpoczęła z nim żywą rozmowę o anatomii, patologii, terapii — unosiła się nad medycyną, wyrażając się z pogardą o zasuszonych, paragrafowatych figurach urzędniczych.

— Rzeczywiście, stan doktorów jest zazdrości godny — rzekł p. S. — tak dla swéj niezależności jak i dla tego, że daje ciągłą sposobność czynienia dobrze i być użytecznym. Gdybym drugi raz rozpocząć miał studyja, przeniósłbym medycynę nad prawo.

— Jakto — to pan nie jesteś doktorem? — spytała Róża blednąc.

— Jestem doktorem praw — zasuszonym paragrafem, jak pani powiedziałaś.

Róża spostrzegła się, że się zagalopowała w medycynę, ale jako przytomna z natury, skręciła na miejscu i rzekła:

— I w kodeksie bywają paragrafy bardzo zajmujące — słowom tym towarzyszyło spojrzenie zalotne i czułe.

— O dziękuję za komplement.

— A jeżeli to szczera prawda? — rzekła Róża nakręcając struny swych spojrzeń na najwyższe tony.

— W takim razie żałuję, że nie wszystkie kobiety tak łaskawém okiem patrzą na paragrafy.

— Ofiaruję się panu na spowiednika i spytam: kto temu przeczy? —

— Najprzód moja żona.

— Co? — pan masz żonę — zawołała Róża oburzona.

— I dzieci. —

— Ależ to panie niegodnie.

— Że mam dzieci — ? — spytał doktor zdziwiony.

Róża się zmiarkowała — że się nadto zdemaskowała, poprawiła więc.

— Nie, tylko, że żona pańska ma takie zdanie o paragrafach.

Te dwa zawody zupełnie rozstroiły pannę Różę, straciła humor — z doktorem praw nudziła ją już rozmowa. Szczęściem, że zawołano do kolacyi — to ją wybawiło od dalszéj z nim rozmowy. Pobiegła do jadalnego pokoju polować oczami na najkorzystniejsze miejsce dla swojéj przyszłości. Udało jéj się rzeczywiście — po prawéj i po lewéj stronie miała ukończonych medyków, bruneta i blondyna — blondynek z drobnych rysów i ciągłego szczebiotania był podobny do kanarka — a brunet z długiemi włosami, z tasiemką od kukera wiszącą jak uzda koło twarzy, przypominał głowy końskie, tak modne w tym czasie.

Róża nie widziała w obu żadnéj różnicy, widziała owszem ogromne podobieństwo — obadwaj podobni byli do jéj przyszłego oczekiwanego, na którego wśród nudów i kwasów, wśród obawy staropanieństwa, wśród przelotnych błysków nadziei czekała oddawna. (Ciąg d. n.)

Nie ideały.

(Ciąg dalszy.)

II.

Mój czytelniku powiedz mi otwarcie,
Czy wierzysz dzisiaj w miłość platoniczną,

Która na pięknéj życia twego karcie
Pisząc o sercu balladę prześliczną,
Nic nie żądała od twojéj kochanéj
Prócz niezabudki jéj rączką zerwanéj.

Jeżeli miałeś niezapominajkę,
Daną ci kiedyś w obłokach miłości;
I dziś przy czarnéj kawie paląc fajkę
Przeczytasz owe ballady młodości,
Możebyś nawet lulki ulubionéj
Nie rzucił dla niéj — kiedyś wymarzonéj.

Lecz kiedy miałeś lat dwadzieścia parę,
I młode serce wielkich marzeń chciwe —
I gdy ci pełną pięknych złudzeń czarę
Podały ręce anioła życzliwe —
I gdy tę czarę do ust swych chyliłeś,
Chciałbym cię słyszeć, co wtenczas mówiłeś?!

Jeżeli dzisiaj, gdyś przeżył lat dużo
W pośród zawodów, walk niezwyciężonych,
Gdy o młodości z zasuszoną różą
Dziś nie rozmawiasz — o latach minionych....
Jeśliś nie kochał, nie cierpiał, nie szalał —
Zamiast zolbrzymieć przez młodość — tyś zmalał.

Dziś choćbyś znowu u źródeł Letei
Obmywał wszystkich wspomnień twoich rany,
Nic się nie wróci; — obłoczek nadziei
Dawno wichrami burzy poszarpany,
Samotnie w pośród błękitów się toczy
I nie odbije płowych jéj warkoczy! —

Lecz dawniéj był czas — wszystko tam widziałeś,
Jéj oczy modre — jéj z koralu usta
I gdyby wtenczas, kiedy ją kochałeś,
Gdyby kto przysiągł, że to bańka pusta,
Że się to skończy za rok — za dni parę,
Powiedz, czy od ust odtrąciłbyś czarę?

Nie! — Lecz do czego podobne pytania?
Poczekaj chwilę — chwilkę bądź cierpliwy —
Właśnie myśl moja ów obłok odsłania,
Gdzie zakochany bohater szczęśliwy
Pierwsze z młodości uczuć plecie wianki,
Na jasne czoło anioła — kochanki.

Obłok z nim razem do gwiazd jasnych płynie,
Przez fale złudzeń, przez błyski tęczowe....
A on — słuchajmy! przysięga dziewczynie!
Girlandę kwiatów rzucił na jéj głowę,
Ona mu jedno wejrzenie rzuciła —
Resztę obrazu chmura zasłoniła....

Ale to dosyć — mogę wam powiedzieć,
Co robią w chmurach dusze zakochane,
Jeśli wam przyjdzie chęć gwiazdy odwiedzić;
Tam, gdzie ich duchy bujały zbłąkane
Dzisiaj się błąka jakiś cień wspomnienia,
Słychać tam skargi, żale i westchnienia....

Cóż się więc stało? Gdy byli w niebiosach
Jakaś ich burza losu zaskoczyła;
Wiatr zerwał róże, co kwitły w jéj włosach,
Fala błyskawic twarz mu odsłoniła,
Od pragnień usta z koralu pobladły
I stała przed nim, jak anioł — upadły!

Na rozrzuconych od wiatru warkoczach,
Pył zbrudził rosy błyszczące kryształy.
Senne znużenie odbiło się w oczach,
Słowa jéj coraz cichły i konały —
A serce biło skargami głośnemi,
Że ją śmiał unieść do nieba — od ziemi!

Była to chwila ostatnia, co dzieli
Młodości niebo — na dwa wielkie groby
Jednego — strzegą kwiaty i anieli.
Drugi nakryty całunem żałoby,
Na nim nie rosną kwiaty, ani róże,
Wiatr je obalił, połamały burze.

A gdy na pierwszym grobie człowiek klęka,
Z twarzą od cierpień bladą i spokojną —
Gdy śmiać się umie, choć mu serce pęka,
I do walk nowych ma dłoń jeszcze zbrojną;
Wtenczas, gdy anioł nadzieję mu rzuci —
Wzgardzi nadzieją — i na grób nie wróci!

Nie wiem, dla czego smutek — czasem rodzi
Wesołość śmieszną, która mi fałszuje
Najczulszy rozdział nieraz — i z powodzi
Szalonych uczuć fala pokazuje
Śmieszność! lub nieba gdy przechodzim bramy
Z kochanką, czasem z rozkoszy ziewamy! —

Dla czego mówię — nie wiem.
Lecz w téj chwili,
Choć księżyc świeci, tak mi w oczach ciemno....
Ona i wszyscy z nią mnie opuścili,
Gwiazda pamięci nie błyszczy nademną —
Lecz choć samotny idę w dalszą drogę,
Gardzić nie umiem — a kochać nie mogę!

Wiem — gdybym skrzydła me w niebo rozwinął,
Pozwolił pieśni rozjęczeć się w żalu —
Każden dźwięk rzewny jako łza by płynął,
Albo od bólu przeklinał zuchwale!
Lecz nie! — na piersiach śmiech jak kamień kładę,
Niechaj odegna mary wspomnień — blade!

Tak pewno myślał i mój zabłąkany
Bohater, z młodą bohaterką w chmurach,
Kiedy mu rzekła: powiedz mi kochany,
Co ci po skrzydłach i fantazyi piórach?
Zejdźmy na ziemię, ja chcę żyć na ziemi,
A ty mnie w niebo niesiesz skrzydły twemi!

I zdarła piękną ze złudzeń zasłonę,
Przed którą młodość pada na kolana!
Za którą skarby snów nieprzeliczone —
Za którą — każda dziewczyna kochana
Jest pół-aniołem, pół-bogiem. — Niestety!
Wszystko tam prawdą jest, oprócz kobiety.

(Ciąg dal. n.)

Z PRZYRODY.

Djamenty.

(Ciąg dalszy.)

Tożsamości djamentów z zwykłym węglem jeszcze i innym udowodniono sposobem. Guyton Morreau proszkiem djamentowym robił stal z żelaza. Jeżeli djament wystawimy na działanie silnego prądu elektrycznego, to zaraz odbiera mu się całą jego ozdobę, mięknie, pęka w różnym kierunku, traci swą czystość i przezroczystość, nabiera czarnéj barwy i zostaje tylko zwykły koks, podobny do tego, który otrzymuje się z węgla. I takie djamenty napotyka się w naturze, mineralogowie oznaczają je nazwą Savoyardów. Może one i takim samym sposobem się tworzą.

Cala różnica między zwykłym węglem a djamentem jest ta, że tamten jest bezkształtny i nieskrystalizowany, djament zaś przybrał regularne kształty. Okazuje więc gaz węglowy, jak jedno i tożsamo ciało różne przybierać może postacie. Przy węglu drewnianym stoją jeszcze russ, koks i węgiel zwierzęcy, wszystkie mają kolor czarny i jedne od drugich prędzéj lub wolniéj się palą. Grafit taki sam posiada kolor jak węgiel, ale ma cienkie warstwy krystalizowane i jest bardzo trudny do spalenia. Djament jest bezbarwny, jego kształt na cztery strony podwójna piramida, widocznie różni się od grafitu, tyle że jak on jest trudny do spalenia. Gaz węglowy jest więc zdolnym różne przybierać postacie.

Mówią wprawdzie: że wewnątrz natury nie sięga rozum ludzki, dlatego też nie jesteśmy wstanie przyczyny różnic jednego i tegożsamego elementu udowodnić. To jednak nie powinno nas powstrzymać, bo choć sądzimy, że nie osiągniemy celu, przecież powinniśmy się o to starać. Ztąd też chciano dociec téj różnicy i jako powód podają różnicę pokładu pojedynczych najdrobniejszych cząstek. Gołemi jednak oczami, a nawet i za pomocą szkieł, nie można tak łatwo tego rozpoznać. Lecz o tém wszystkiém można mieć wyobrażenie i z codziennego życia. Jakże to różne i rozmaite przedmioty nie wyrabiają z włokien bawełnianych, mamy to papier, dykturę, watę, nici, aksamit i różne przeróżne materyje jak je tam panie nazywają. Jedno nie równa się drugiemu, a przecież wszystko powstało z tegoż samego pierwiastku. (Ciąg dalszy nast).

CACKO.

(POWIEŚĆ)

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Ciąg dalszy.)

Ku wieczorowi skwarnego dnia w sierpniu, powracał Zdzisław z pola na siwce swojéj miedzą, ponad żniskiem *) przeniczném, zwolna i w zamyśleniu. Twarz młodego mocno była ogorzałą, znać wiele na powietrzu i słońcu przebywał — ile, że z pod słomianego kapelusza, z boku dojrzeć było można skrawek czoła płci o wiele świátlejszéj. Świeże dreliszkowe ubranie, nie bez pewnéj elegancyi, zręcznym odznaczało się krojem.

Wjechał na zielony dziedziniec; zeskoczył z konia i ku dworowi białemu zmierzał.

— Wielmożna jéjmość jest w ogrodzie — wymówił stajenny chłopak niepytany, znać spoufalony dobrocią pana, a świadomy jego miłości synowskiéj.

Zdzisław skręcił do ogrodu, gdzie w altance z jaźminu dzikiego babka ukochana siedziala. Przy niéj na trawniku pełzala Nasia, faworyciątko, mala córeczka ogrodnika. Obok stała klucznica, stara Werchowa, i coś tam opowiadała sędziwéj pani — która właśnie bawiła się z dzieciną, rzucając jéj raz po raz cukierek. A Werchowa unosiła się nad rozumkiem maleńkiéj.

Zdzisław nadszedł, a babka z serdecznym wyrazem rękę wyciągnęła ku niemu. Ucałował tę rączkę kochaną i usiadł obok na ławce.

— Strudziłeś się, biedaku! — wymówila, gdy młodzian zrzucił kapelusz i fularem czoło ocierał.

— Troszkę, nie bardzo. A cóż kochana babuńcia robiła?

— Zabawiało mnie to maleństwo! — wskazała Nasię. A jakie to sprytne i pocieszne, że aż rozweseli.

— Wielmożnéj pani prawnusiątkaby trzeba — wymówiła w półcicho Werchowa, ośmielona do sędziwéj pani, która ją niedorosłą znała dziewczynką.

— Naśko, dziewuszko! — prezesowa rzucila jéj znowu cukierek — takie dzieciątka, to w życiu ludzkiém, gdyby słoneczne promyki — wyrzekła i z lekka westchnęła. Aleś ty głodny, mój Zdzisiu! Werchosiu

*) Żnisko zamiast rzysko — ściernisko — z ust obywatela z Kujaw.

kochana, przyślijcie tam podwieczorek: kawki dobréj, bułeczki z masłem, owocu, bo dziecko moje strudziło się, a głodne — i pogłaskała wnuka po czole.

— Zarusieńko będzie wszystko! — Werchowa podążyła ku dworowi. Rozmowa pomiędzy wnukiem i babką potoczyła się żwawo — a nastręczała przedmiotu Nasia, któréj Zdzisław rzucał kwiatki i do uszka zegarek przykładał, że aż w drobne dłonie klaskała.

Babkę bawiło to serdecznie — i cieszyły ją pieszczoty, jakie Zdzisław maleńkiéj wydzielał dzieweczce.

Służba zastawiła stolik obfitym podwieczorkiem wiejskim. A zaledwie babka filiżankę kawy nalała, gdy ode wsi trąbka ozwała się pocztarska.

— Ekstra-poczta! — zawołał Zdzisław.

— Może tu kto przejeżdża.

Trąbka poza bramą dziedzińca zadźwiękła.

— Powóz wjeżdża w dziedziniec! — zawołał pokojowiec, pobiegłszy ku dworowi.

— Któż to być może?

Zdzisław wybiegł z ogrodu — a po chwili z panią pułkownikową powrócił.

Prezesowa podniosła się uradowana.

— A niechże ci Bóg płaci, poczciwa Maryniu, za tę miłą niespodziankę! i uścisnęła przybyłą. Zkądżeż ciebie bogowie prowadzą?

— Wprost z Warszawy.

— Siadajże kochanie. Pozwolisz kawy? wrząca jeszcze. Może bułeczki, czy chleba?... Janie! a niechno tu przyjdzie Żeglicha, co zabierze kapelusz pani pułkownikowéj.... Masz zapewne swoją p a n n ę z sobą. Janie, weźże tam kawę i chleba dla p a n n y. A dajcie też pocztarkowi podwieczorek, powiedz to Werchowéj.

— Kochana pani prezesowa o wszystkich pamięta! uśmiechnęła się pułkownikowa.

— To i jakżeby było? Przecież to nie żadna jest cnota: spragnionego napoić, a głodnego nakarmić. A ten biedaczysko pewnie jesł spragniony i głodny.

— Kiedyżeś pani wyjechała z Warszawy? — zapytał Zdzisław.

— Przedwczoraj.

— A przyrządźcie tam pokoje dla pani pułkownikowéj — wymówiła sędziwa gospodyni domu do swojéj Żeglickiéj, unoszącéj kapelusz przybyłéj pani i proszę nie zapomnieć o niczém.

— A cóż tam słychać w Warszawie? ciągnął Zdzisław daléj.

— Nie wiele. Bom téż w ostatnich czasach i nie wiele tam była. Przez lipiec bawiłam na wsi u siostry, a potém pojechałam do rodziców Ludwini na dni kilka. Warszawa jak wiem, dość pustą bywa w tym czasie, i téż mało kogo widziałam.

— A cóż panna Ludwika?

— O, zawsze jest panną Ludwiką! W głowie szeroko, a wielkie rodzenki w kieszeni.... Ale czy téż wiécie wszystko o Runowskich?

— Cóż takiego?

Zdzisław pobladł nagle.

— Wiecież przecie, że on umarł?

— Czytaliśmy w gazecie.

— I nic więcéj nie wiecie?

— Ani słóweńka.

Zdzisław milczał, trzymając wzrok w ziemię wlepiony.

— To i co? — pytała prezesowa, patrząc to na wnuka, to na przyjaciółkę.

— Dziwi mnie, że nic nie wiecie.

— Tu jest wieś, moja Marynieczko, a do Warszawy daleko. Żyjemy tylko z sąsiadami, a do pani Runowskiéj jest ztąd jakie mil dwadzieścia. To i cóż przecie zaszło?

— Więc nie wiecie, że cały runął majątek?

— Jakto? — porwał się Zdzisław.

— Wszystko poszło?!

— Niepodobna! — babka z boku na wnuka spojrzała, a na jéj licu dwie gorączkowe wystąpiły plamy.

— Tak jest, naprawdę. Śmierć Runowskiego była skutkiem tego bankructwa. Skończył nagle, na apopleksją w Hamburgu; zgryzota go zabiła. Konkurs ogłoszono zaraz na cały majątek i zabrano wszystko. Zapuścił się biedak w jakieś spekulacje nieszczęsne, dalekie, zabrnął.... brnął coraz daléj a daléj i runęło wszystko.... przepadło!

— Jezus Marja! Boże wielki! prezesowa złożyła dłonie.

— A cóż dzieje się z panią Runowską i jéj córkami? zapytał Zdzisław niemal bez tchu.

— Ocalała z téj powodzi nieszczęść maluczka zagroda szlachecka, która na panią Runowską szczęśliwym wypadkiem po jakiéjś spadła krewnéj. Inaczéj, byłyby pozbawione potrzeb wszelkich, co się nazywa!

— Czyż to być może! I wszystkoż stracone?

— Jak powiedziałam. Nie pokryją się nawet długi. A zatradowano wszystko, srebra, meble, rzeczy....

— Okropnie! — zawołał Zdzisław i pobladł znowu.

Prezesowa ręce załamała.

— Wszystko nastąpiło zbyt nagle, jak gdyby piorun z pogodnego był uderzył nieba.

— Nieszczęśliwe kobiety!

Zdisław milczał z zaciętemi ustami i wzrokiem ponurym: silne cierpienie moralne w jego wybiło się rysach.

— I już tam mieszkają na téj zagrodzie? — zapytała znowu babka.

— Już od pierwszych dni maja. Boć i wynieść się musiały. W kwietniu nieboszczyk w Hamburgu, w przeciągu kilku minut, życie zakończył i też zaraz wszystko poszło pod sekwestr.

— Straszna historja!

— I jakżeż.... jakżeż biedne panie te ciosy zniosły? zapytał Zdzisław głosem drżącym a stłumionym.

Pani Runowska rozpaczała.... lecz w Ewelince znalazła prawdziwego anioła pocieszyciela. Córka niosła jéj słowem i czynem pociechę, pociechę religijną i miłości dziecka.

Zdzisław miał niby łzę na źrenicy, ale ją przysłonił.

— Okropne zachodziły sceny! — mówiła daléj pułkownikowa — pani Runowska krzyczała, mdlała, Ewelinka leżała jéj u nóg, perswadowała.... te drugie płakały....

— Można sobie wystawić, co się tam działo! i prezesowa łzy chusteczką otarła.

Potém Ewelinka matkę na tę zagrodę wywiozła.... A wprzódy kazała pokoiki wybielić i urządziła mieszkanko wygodnie, o ile się dało....

— Ewelinka? — zdziwiła się prezesowa.

— Tak, tak, Ewelinka! Och, bo ona teraz wcale okazała się inną! Zawiedliśmy się, kochana pani.

Zdzisław zapłonął.

— To i jakże? — pytała babka.

— Umiała zastosować się do wszystkiego i rzadki okazała rozsądek, pogodzenie się z wolą Bożą i wytrwałość. Toćże ona cały rząd domu prowadzi!

— Ta Ewelinka salonowa? — prezesowa nie śmiała powiedzieć: c a c k o.

— Taż sama rozpieszczona Ewelinka. Pani Runowska o nic nie pyta i o niczém nie wie. Siedzi sobie w pokoiku urządzonym wygodnie, wyrzeka, gdy ma przed kim, płacze, modli się z różańcem w ręku i francuzkie czyta romanse....

— A!

— Naprawdę, że tak jest. Mówił mi to doktor Niesielski, bardzo zacny człowiek i proboszcz z Załęgu. Pokoik jéj opatrzyła Ewelinka we wszystko, jak mogła, ażeby matka zbyt dotkliwie téj całéj strasznéj straty majątkowéj nie uczuła. I dba dla niéj o wygody wszelkie, o dobrą kawę i herbatę, o rosołek dobry, kurczątko pieczone i kompocik jaki.

— Czy być może! Czy to być może! — zawołała prezesowa.

— Anioł! — z cicha poszepnął Zdzisław.

— Więc Ewelinka, owo c a c k o....

— Stała się dzisiaj najpraktyczniejszą istotą.

— Trudno uwierzyć!

— Słowo najświętsze.

— Ale zkądżeż Marynia wie o tém wszystkiém.

— Jak powiedziałam: od doktora, od proboszcza i od sąsiadów Janpola, bo tak nazywa się ten folwarczek. Jest to w sąsiedztwie państwa Łunowieckich.

— Rodziców znanéj nam Ludwini. Ależ to cuda, istne cuda.

— Tak, istotnie. Któżby to był pomyślał i uwierzył? Owo c a c k o, owo pieścidełko! Potrzeba nauczyła ją wszystkiego, a widać, że grunt był dobry. Krząta się i pracuje, do niczego się nie leni. Ludwinia sama wiele mi opowiadała.

— Hm! Ta, bo strzelać lubi bez prochu! — sędziwa pani nie dowierzała i pojąć nie mogła téj zmiany w panience, którą zawsze tylko, jako c a c k o s a l o n o w e uważała.

— Ludwinia strzela niekiedy bez prochu, to prawda. Tylko, że raczéj w niekorzystnem, ale nie w dobrém przesadza — uśmiechnęła się pułkownikowa — kuzynkać to moja, lecz tę sprawiedliwość oddać jéj muszę: ma trochę zły języczek, żądełko, a mniema, że to dowcip. Pojechała też do Janpola, przez ciekawość pewnie, bo przyjaźni tam nigdy tak gorącéj nie było. Zastała Ewelinkę prasującą czepeczek dla matki....

— Czy być może! — zdziwiła się znowu prezesowa.

— Och, biedne dziewczę umie teraz i szyć i prasować i pokój zamieść....

— To złoto czyste, a nie c a c k o tylko!

Zdzisława oczy połysnęły.

— Biedactwo umila matce wszystko, jak może, a przytém jeszcze i dwie młodsze uczy siostrzyczki, boć teraz o żadnéj dla nich guwernantce ani pomyśleć!

— Mój Boże, mój Boże!

— Opowiadała mi także Ludwinia, z uwagami dowcipno-złośliwemi, jak to pani Runowska siedzi we fatelu, na rozłożonym pod nogami dywanie. Na głowie miała koronkowy czepeczek, na ręku białe, stare rękawiczki i obrzuciła się naprędce aksamitną mantylką. Przed nią na stoliku leżą jakieś romanse francuzkie, książka do nabożeństwa, stoi flakonik z wodą kolońską i wazonik z kwiatkami polnemi. Ewelinka uzbiera zawsze bukiet dla niéj, biedne dziecko!

Zdzisław stał, wspierając dłoń na stole, a znać przyciskał ją silnie, cierpieniem targany wewnętrznem, bo aż żyły nabiegły.

Prezesowa głową kręciła.

— Ale któż tam przecie gospodarstwem zarządza? zapytała znowu, zwracająca swoją praktycznością uwagę na wszystko.

— Jakiś dawny karbowy, który u ś. p. pana Runowskiego przez lat wiele służył.

— A czyż to wystarcza?

— Podobno, że zupełnie, boć to maleńki tylko folwarczek.

— Biedne kobiety!

Prezesowa znowu pokręciła głową. A Zdzisław pochylił czoło i cicho stłumił westchnienie.

— A jakąż ma służbę?

— Dziewczynę, która praczką dawniéj była i jakąś wiejską kobietę. I jam o to zapytywała, bo pani Runowska do licznéj zawsze nawykła służby: do panny służącéj, kamerdynera, lokaja, kucharza. Dziś Ewelinka służy jéj za wszystkich.

I babka i wnuk, oboje sposępnieli widocznie.

— Czyjeż to? — zagadała pułkownikowa, wskazując Nasię: znać chciała tok zmienić rozmowy.

— Córeczka ogrodnika.

— Śliczne dziecię! Zapewne faworycię kochanéj pani.

Sędziwa matrona głową skinęła.

— Chodź, malenka, chodź! Jakież jéj imię?

— Nasia.

— Chodź, Nasieńko, dam ci cukierek!

— Tukiejek — powtórzyło dziecię.

Pułkownikowa ujęła maleńką i przycisnęła ją do siebie.

Zdzisław wyszedł z ogrodu. Pułkownikowa jakieś tam inne nowinki sędziwéj przyjaciółce opowiadać poczęła.

Słońce zaszło. Zdzisław powrócił — i pospołu do salonu weszli.

W kościołku pobliskim zadzwoniono na Anioł-Pański — a pani domu udała się na pacierze do swojego pokoju.

Pułkownikowa pozostała ze Zdzisławem. Przycicha pomiędzy niemi zawiązała się rozmowa. Młody zapytywał o Janpole — o szczegóły różne, dotyczące się rodziny Runowskich — i o Ewelinę: o to, co mu najciężéj na sercu leżało. Rozmowa cichym zakończyła się poszeptem, gdy służba światło wniosła i przybory do herbaty robiła.

Wieczora tego już więcéj o Janpolu i Runowskich mowy nie było.

Gdy późniéj rozeszli się na spoczynek, Zdzisław otworzył szafę z książkami, dobył znane puzderko i długo, długo przypatrywał się zawartéj w niém fotografii. Potém schował ją znowu — szafę zamknął, rzucił się na krzesło — i dumał. (Ciąg d. n.)

ROZMAITOŚCI.

Odczyt Dr. Łepkowskiego w piątek d. 22go t. m. O Wicie Stwoszu żywe obudził zajęcie w publiczności. Żywo stoi w pamięci naszéj ta średniowieczna postać rzeźbiarza, którą nam poeta i malarz z mroków zapomnienia na jaw wydobyli — to też każdy pospieszył chętnie usłyszeć coś więcéj o tym człowieku, dowiedzieć się szczegółów dotyczących jego życia. Odczyt nie zawiódł powszechnego oczekiwania. Dr. Łepkowski bacząc na to jaką publiczność ma przed sobą, nie przepełniał odczytu drobiazgami archeologicznemi, a treściwym, płynnym wykładem zainteresował publiczność do swego przedmiotu. — Rzuciwszy kilka dat z pobytu Stwosza w Krakowie i jego wyjazdu do Norymbergi — p. Ł. zatrzymał się dłuższy czas nad procesem, który się tak fatalnie skończył dla naszego artysty. Starał się za pomocą świadectw spółczesnych i późniejszych oczyścić go z zarzutów ciążących na nim i pokazać go nam nieskalanym. — W tym względzie wywiązał się p. Ł. zupełnie ze swego zadania. — Mniéj mu się to udało, gdy mówił o narodowości Stwosza. Dowody były wprawdzie dostateczne dla nas, których miłość narodowa skłaniać już musi do uznania Stwosza za ziomka naszego, ale niedostateczna dla tych, którzy go nam wydrzeć usilują. — Następnie przeszedł p. Ł. do wyliczenia znamienitszych prac Stwosza, jako to: sarkofagu Kazimierza Jagiellończyka, Zbigniewa Oleśnickiego. Ołtarza Ś. Sebalda — Krucyfiksu — a jako koronę tych prac postawił Ołtarz w kościele P. Maryi, który Stwosz wykończył w 12tu latach i to przed swoim wyjazdem do Norymbergi. Praca ta jego wypadła w chwili, kiedy styl gotycki przełamywał się już w renesans, a ostre łuki zginały się już ku poziomowi. Ołtarz ten jak wiadomo rzeźbiony z drzewa, był bogato złocony i w jaskrawym dość kolorycie. Że taka barwność figur była potrzebna, łatwo zrozumiemy, skoro zwrócimy uwagę na to, że kościoły ostrołukowe ozdobione oknami kolorowemi, zbyt ciemne były — potrzeba więc było silnych, jaskrawych kolorów — aby rzeźba nie ginęła w mroku, aby te figury dobyć z ciemności. W wykładzie p. Łepkowskiego nie brakło jowialnych i humorystycznych ustępów, które wykład jego przemieniły w rodzaj przyjemnéj pogadanki. — Rzęsiste brawa zakończyły odczyt.

— **Wiersz** Teofila Lenartowicza na rocznicę zgonu Tadeusza Kościuszki, obchodzoną wmurowaniem kamienia z napisem i popiersiem jego na domu, w którym zamieszkiwał w Solurze w Szwajcaryi — jakotéż przekład polski broszurki X. Henryka Perreyve pod tyt.: „Do Matek i Niewiast Polskich“, można nabyć po cenie 15 c., w czém chętnie pośredniczyć możemy, ile że dochód z rozprzedaży przeznaczony jest na dobroczynne cele.

— Dowiadujemy się, że podanie o założenie **kasyna artystyczno-literackiego** w Krakowie otrzymało od c. k. namiestnictwa przychylną odpowiedź, z żądaniem atoli pewnych zmian w statutach. Można się więc spodziewać, że zaniedługo to kasyno zostanie urządzoném.

— W resursie miejskiéj w Krakowie mają być urządzane wieczory muzykalne i podobno odczyty, przez co resurs może się stać towarzyskiém ogniskiem dla obu płci. Pochwalamy wielce ten zamiar, zwrócimy tylko uwagę, iżby odczyty nie były akademickiemi, ale zajmującémi pogadankami, w guście *causeries* Dumas'a. Podobne wieczory (*Frauenabende* itd.) są po innych miastach zabawą bardzo zwykłą i bardzo lubianą.

Korespondencja „Kaliny“.

Panu ***L. B.*** Wiersze pańskie mają tę wadę, że nie są ani złe, ani dobre.

Borys. Żałujemy mocno, że ze zmianą pseudonimu, nie możemy zmienić naszego zdania o pańskich próbkach.

ay. Humoreska ma pare miejsc rzeczywiście dowcipnych, ale całość pobieżnie rzucona i zbyt osobista. — Zresztą coś podobnego zobaczysz Pan w „szkicu karnawałowym“, który właśnie w tym numerze rozpoczął się. — Manuskrypt odeślemy po odebraniu adresu. — W każdym razie życzylibyśmy sobie wejść w bliższe porozumienie.

Pani ***N. N.* z Poznańskiego.** Nadesłane próby nie zdadzą się nam — prosimy o inne podobnéj treści, ale nie podobnéj wartości.

Od zarządu sprawunkowego „Kaliny“.

L. w N. Nie możemy się podjąć. — **R. S.** czekamy na odpis. — **A. A.** Dostanie tylko całemi wałeczkami — próby mogą być posłane. — **L. L.** Jarmark dopiero po świętach, czy czekać? — **Mo.** Pieniędzy na poczcie dotąd niema.

Nakładca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Ostatni numer tego kwartału.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.